GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1938 R.

Nr. 16 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 16

1938 R.

1 — IX

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

EKONOMIKA A DOKTRYNA WOJENNA

Prowadzenie wojny zupełnie tak samo jak działalność gospodarcza jest posługiwaniem się elementami przyrody, pracy i kapitału. Ze względu jednak na odmienność celów inne są kryteria użyteczności poszczególnych elementów przyrody, pracy i kapitału.

Nie wiem czy istnieje jakakolwiek uznana definicja pojęcia doktryny wojennej. Zmuszony jestem przeto skonstruować definicję sam, poto, aby oprzeć na niej tok rozumowania. I jeśli nawet z punktu widzenia fachowców w rzemiośle wojennym moja definicja będzie niedoskonała i nieścisła, to tem niemniej spełni ona swoje skromne zadanie rusztowania, na którym się oprą poniższe wywody i wnioski.

Doktryna wojenna jest myślowym sformułowaniem zasad i metod prowadzenia wojny przez dany organizm państwowo-narodowy w taki sposób, by wszystkie duchowe i materialne zasoby mogły być wykorzystane do maksimum swej wydajności. Same zaś zasady i metody prowadzenia wojny są zbudowane na przesłankach, jakie daje układ stosunków politycznych i gospodarczych zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, struktura demograficzna, narodowościowa i socjalna, charakter narodowy, poziom kultury i cywilizacji, stopień rozwoju gospodarczego i technicznego danego kraju. Inaczej zatem możemy powiedzieć, że doktryna wojenna *jest zespołem ekonomicznych, socjologicznych, politycznych, psychologicznych a nawet filozoficznych założeń i tez, na których się buduje plany strategiczne.*

W miarę, jak wojna stawała się coraz bardziej uzależniona od potencjału produkcyjno - gospodarczego, przesłanki ekonomiczne w doktrynach wojennych zajmowały coraz pocześniejsze miejsce. Wynika to również i z tego, że w prowadzeniu wojny współdziałają ze sobą te same trzy czynniki co i w działalności gospodarczej — przyroda, kapitał i praca. Ponieważ jednak czynniki te są używane w czasie wojny dla odmiennych zadań i celów to inne są *kryteria użyteczności* tych samych elementów przyrody, pracy i kapitału. Tak więc bezwartościowe czasu pokoju bagna mogą być w czasie wojny bardzo cennym darem przyrody a doskonale prosperująca i wysoce rentowna fabryka perfum przestaje być kapitałem (chyba że dało by się ją przestawić na produkcję trujących gazów). Kapitałem w czasie wojny stają się bowiem tylko wszelkie urządzenia wzmagające *wydajność pracy wojennej* — a więc walki bezpośredniej i wytwarzania dóbr potrzebnych do prowadzenia walki. Kapitałem w czasie wojny stają się zatem takie dobra nieprodukcyjne gospodarczo, jak maszyny i narzędzia wojenne (czołgi, armaty) oraz takie inwestycje, jak fortyfikacje. Bo ostateczny sens i wartość wszystkim rzeczom nadaje człowiek, jego cele, jego działalność, jego stosunek do rzeczy.

Na tle powyższych rozważań staje się jasne, że metodologia doktryny wojennej jest nieomal identyczna z metodologią polityki gospodarczej, a że wszystkie państwa przygotowują się do wojny zawczasu, to aktualna polityka gospodarcza wielu krajów jest spleciona nierozerwalnie z doktryną wojenną, przyjętą w tych krajach.

Doktryny wojenne panujące w różnych krajach

ukształtowały się zależnie od sytuacji tych krajów. Jeśli chodzi o przesłanki gospodarcze, powodujące różnice w doktrynach wojennych różnych krajów, to różnice te dadzą się sprowadzić do odmiennego traktowania czynników przyrody, pracy i kapitału, zależnie od tego, jakie z tych czynników są posiadane w ilości dostatecznej, jakie w obfitości i jakich jest za mało lub brak.

Tak więc kraje o dużej liczbie ludności, dość dobrze wyposażone kapitałowo, a mało przez przyrodę (brak surowców) hołdują doktrynom o typie ofensywnym. Mają one bowiem dużo ludzi i mogą zgromadzić dużo środków technicznych dla gwałtownego uderzenia. Dla walki długiej może nie starczyć im zasobów. Kraje takie jak Anglia i Francja hołdują doktrynie o typie obronnym, chociaż w środki kapitałowe, czyli w danym wypadku narzędzia walki są, względnie mogą być wyposażone bardzo obficie. Ale czynnikiem deficytowym jest u nich praca — mniejsza liczba ludności, a co najważniejsze mniejsza dynamika przyrostu naturalnego, która powoduje, że straty w ludziach wyczerpują te kraje prędzej, *i na znacznie dłuższy czas po skończonej wojnie.* Przy pomocy więc dużych nakładów kapitału na fortyfikacje i inne środki techniczne, zastępujące ludzi i chroniące ludzi, starają się one przeciągać wojnę, co mogą czynić dzięki bogatemu wyposażeniu w dobra dawane przez przyrodę — surowce.

To zresztą są rzeczy już znane i dość szeroko spopularyzowane. Inne nieco zagadnienie stanowi stosunek doktryny wojennej do czynników przyrody, pracy i kapitału w czasie pokoju, pod kątem widzenia możliwej wojny. Stosunek ten zawsze wypływa z aktualnej sytuacji danego kraju, ale może wpływać również i nie raz bardzo silnie na dynamikę i kierunek rozwoju gospodarczego danego kraju. Domagać by się należało, żeby doktryna wojenna nie miała skłonności do kostnienia, inaczej bowiem, zrodziwszy się w jakiejś fazie rozwoju gospodarczego, hamowałaby dalsze postępy tego rozwoju. Zastrzegam się odrazu, żeby liberali nie podchwytywali tego zdania, bo nie jest to wcale woda na ich młyn, nie chodzi tu bowiem ani o autarkię, ani o gospodarkę planową i zamkniętą. Te bowiem, moim zdaniem, nie tylko nie hamują rozwoju gospodarczego, ale mogą go nawet przyśpieszać, a w każdym razie są konieczne, jeśli się naprawdę chce być przygotowanym do wojny. Chodzi mi jedynie o zmienność w traktowaniu różnych elementów przyrody, pracy i kapitału w miarę tego, jak wzajemny stosunek tych elementów zmienia się wraz z rozwojem gospodarczym.

Porównajmy dla przykładu traktowanie przeszkód terenowych w dwóch tak odmiennych krajach jak Rosja i Belgia. Mówi się, że wszędzie na świecie człowiek broni ziemi, a w Rosji ziemia broni człowieka. Rosja mając olbrzymie obszary, może przeznaczyć znaczne tereny dla roli przeszkód terenowych w czasie wojny, zupełnie nie wykorzystując ich gospodarczo w czasie pokoju, a więc nie meliorować bagien i nie regulować rzek. W warunkach bowiem chronicznego braku kapitałów i rzadkiego przeciętnego zaludnienia ten sposób obrony jest dla niej tańszy albo nawet jedynie możliwy. W Belgii, gdzie gęstość zaludnienia jest duża i renta gruntowa wysoka, opłaca się więcej zmeliorować ziemię i wziąć ją pod uprawę, a zużyć natomiast istniejące w obfitości środki kapitałowe na budowę sztucznych przeszkód — t. zw. fortyfikacji. Wysoka renta gruntowa ze zmeliorowanych bagien czyni takie rozwiązanie bardziej opłacalne gospodarczo, renta ta bowiem może w nadmiarze pokryć koszty oprocentowania i konserwacji zbudowanych fortyfikacji. A równocześnie rośnie stopień samostarczalności pod względem aprowizacji.

Przykład ten jest wybitnie krańcowy. Sytuacja innych krajów reprezentuje różne punkty między tymi biegunami. Lecz sytuacja ta nigdzie nie jest niezmienna a czasem zmienia się dość szybko. Jeśli w jakimś kraju gęstość zaludnienia rośnie bardzo szybko a obszar ogólny nie jest zbyt duży, to ziemia może szybko stać się elementem deficytowym.

Jasne jest, że wówczas zachodzi konieczność rewizji doktryny wojennej w tym kierunku, by człowiek bardziej bronił ziemi niż ziemia człowieka. Powstaje bowiem wówczas konieczność gospodarcza rozszerzenia uprawy roli na dotychczasowe nieużytki i intensyfikacja uprawy w celu żywienia rosnącej ludności. Oznacza to przejście do wyższej fazy gospodarczej. Do tej wyższej fazy musi również podciągać się doktryna wojenna i przechodzić do operowania sztucznymi środkami oporu. Oczywiście oznacza to konieczność przeznaczenia na ten cel większych środków finansowych, wygospodarowanych dzięki osiągnięciu wyższej fazy rozwoju gospodarczego. Zakłada się bowiem w danym wypadku równoczesny wzrost uprzemysłowienia. Gdyby to nie nastąpiło, to sytuacja byłaby nieomal bez wyjścia: trzeba by było rezygnować albo z możności obrony albo z możności rozwoju gospodarczego. A na nieco tylko dłuższą metę rezygnować z rozwoju gospodarczego, oznacza to samo co rezygnacja z możności obrony.

Przykładem takiej zmienności doktryn wojennych jest sprawa dróg. Był, jak wiadomo okres, kiedy złe drogi uważano za środek wzmacniający zdolność oporu wobec nacisku silniejszego i lepiej uzbrojonego nieprzyjaciela. Rozwój motoryzacji zdeaktualizował w znacznym stopniu ten pogląd. Piszę w znacznym stopniu, bo jednak dla krajów o bardzo rozległych obszarach, jak Rosja lub Chiny, bezdroże pozostaje czynnikiem wzmacniającym zdolność oporu, a raczej osłabiającym nieprzyjaciela w miarę posuwania się jego naprzód. Nigdy jednak, ani góry, ani bagna, ani bezdroże nie wzmagają zdolności do ofensywy, która jest najlepszą bronią. Słowem dobrze jest, jeśli ziemia broni człowieka, wtedy, gdy on nie ma czem się bronić. Lepiej jest jednak, gdy człowiek jest wyposażony w środki walki czynnej: — idealnie, gdy jedno kojarzy się z drugim.

Sprawę traktowania przez doktrynę wojenną naturalnych przeszkód terenowych w okresie pokoju najlepiej jest traktować na przykładzie „idealnym'' — przykładzie kraju, którego cały obszar, staje się terenem działań wojennych. (Belgia była bardzo blisko tego „ideału'' podczas Wielkiej Wojny). Gdyby w tym wypadku w gospodarce pokojowej traktowano każdy kąt kraju jako teren przyszłych działań wojennych, to jego rozwój gospodarczy byłby zahamowany, a zdolność obronna by zmalała.

Wolno wówczas w gospodarce pokojowej, przygotowującej się do wojny, uwzględniać tylko wy-

magania strategii, a nigdy taktyki, jeśliby wymagania taktyczne miały hamować wzrost zdolności produkcyjnej kraju. Bo w wypadku takiej geopolitycznej sytuacji, że cały kraj może być terenem wojny, jego jedyna nadzieja jest w najskuteczniejszym, najbardziej „wydajnym" niszczeniu fizycznym przeciwnika. Do tego celu są potrzebne środki techniczne — to znaczy wysoka zdolność produkcyjna gospodarstwa narodowego.

Tu znowóż zastrzec się muszę, żeby nie interpretować tego jako zalecania liberalizmu gospodarczego. Zdolność wojenno-gospodarcza zależy bowiem nie tylko od absolutnych rozmiarów produkcji, ale i od jej układu i zróżniczkowania. Układ gospodarczy powstający w rezultacie wolnej konkurencji, nie zapewnia siły militarnej. Można tu zacytować przykład łańcucha, który jest tak mocny, jak najsłabsze ogniwo. Kraj, który ma średnich rozmiarów przemysł włókienniczy, oparty na własnym surowcu (choćby drogim), jest silniejszy od kraju o bardzo rozrośniętym przemyśle włókienniczym, a małej produkcji surowca. Bo wówczas surowiec jest słabym ogniwem. Chodzi o to, że w omawianych warunkach może nie opłacać się pozostawiać niemeliorowanych bagien, lub nie eksploatować lasu (jako ewentualnej osłony terenowej). Natomiast może zawsze opłacać się popieranie „nierentownej" produkcji kotoniny, a cokolwiek dokuczyć rentownej produkcji z importowanej bawełny. (Prawdy tej nigdy nie obalą najbardziej kunsztowne wywody pewnego odłamu prasy na temat korzyści liberalizmu i szkodliwości samostarczalności dla podniesienia potencjału wojenno-gospodarczego. I nic tu nie pomoże nawet najgłębsze przekonanie, że robienie interesów w Łodzi daje większe doświadczenie wojenno-gospodarcze niż wojna światowa, i, że łódzcy ekonomiści są w tej dziedzinie o niebo bardziej kompetentni naprzykład od niemieckich militarystów).

Wracając do toku przerwanych rozważań, konstatuję, że najważniejszą rzeczą na wojnie jest posiadanie czynnych środków walki, służących do łamania oporu przeciwnika i niszczenia go, dopiero zaś na drugim miejscu są bierne środki walki, służące do chronienia siebie przed niszczącymi środkami przeciwnika. Gdy brakuje środków czynnych, to trzeba się z konieczności opierać na biernych. Ale to jest tylko zło konieczne i trzeba je zarzucić natychmiast, jak tylko staje się to możliwe.

W rezultacie tych rozważań można w następujący sposób sformułować problematykę gospodarczą w doktrynie wojennej.

Na cele wojenne przeznacza się pewną część dochodu narodowego (dochód rozumiem jako sumę dóbr, a nie pieniędzy). Jeżeli dochód jest zbyt mały, to poświęca się na rzecz celów wojennych pewne potencjalne możliwości wzrostu dochodu. W pierwszym wypadku ogranicza się stopę życiową (osobistą i zbiorową), przy tem wiadomo dokładnie, ile się bierze, względnie — daje, i zmienia się relacje między poszczególnemi gałęziami produkcji, nie zmniejszając globalnych rozmiarów wytwórczych. Można zatem całą operację skalkulować, i tak nią kierować, by rosła ogólna produkcyjność gospodarstwa narodowego, oraz by nie była naruszona istniejąca, kapitałowa podstawa produkcji, ani zahamowane możliwości jej dalszego rozrostu.

W drugim wypadku zatrzymuje się wzrost podstawy kapitałowej, gospodarstwa narodowego. Ponieważ nic nie wyjmuje się wówczas z kieszeni, to jest to sposób mniej bolesny. I niewiadomo dokładnie, ile się na tem traci, gdy chodzi o przyszłe możliwości. Pierwszy sposób idzie w parze z dynamiką rozwojową, drugi ze statyką. W wypadku istnienia dynamiki rozwoju gospodarczego między ekonomiką a praktycznie stosowaną doktryną wojenną zachodzi taka współzależność, że gdy jedna robi krok naprzód, to zaraz potem musi zrobić krok druga. Zwiększenie sumy dochodu, przeznaczonego na środki walki czynnej, zmniejsza w odpowiednim stopniu potrzebę zachowywania w stanie niezagospodarowanym, lub niedostatecznie zagospodarowanym naturalnych osłon terenowych, a wynikający stąd wzrost dochodowości gospodarstwa narodowego pozwala dalej zwiększać nakłady na cele wojenne, aż do budowy potężnych fortyfikacyj granicznych, za któremi bezpiecznie i bez przeszkód wykorzystuje się wszystkie możliwości produkcyjne, dane przez przyrodę.

Naszym ideałem powinno być zmeliorowane i zagospodarowane Polesie, ukryte za niezdobytymi bastionami, amortyzowanymi i konserwowanymi z wielokrotnie zwiększonej renty gruntowej, a bronionymi przez liczny garnizon, karmiony produktami rolnymi z dzisiejszych bagien.

KAZIMIERZ CYNKUTIS

REFLEKSJE NA TLE POLITYKI FINANSOWEJ III. RZESZY

I. Czy naprawdę zmiana finansowania?

Dwukrotne oświadczenie prezesa Reichsbanku Dr Hialmara Schachta w marcu na zebraniu Dyrekcji Banku i w maju z okazji dnia bankowego, zapowiadające zmianę dotychczasowej polityki finansowania życia gospodarczego, stały się sensacją prasy europejskiej i to nie tylko gospodarczej ale nawet politycznej. Prasa polska nie była odosobniona, zapytując, czy uda się ten nowy eksperyment, lub doszukując się w nim nowej „magii czarnoksiężnika". Tymczasem rzeczywistość ubiegłych miesięcy pokazała, że zmiana polityki finansowania olbrzymich robót państwowych nie zmieniła ani jej celów, ani nawet głównych metod i środków działania. Poprostu nastąpiło tylko nałożenie bezpieczników (ale nie hamulców) na rozpędzone koło finansowania. Nastąpiło porzucenie finansowania państwowego drogą wystawiania 6-cio miesięcznych weksli skarbowych (tzw. Sonderwechsel) z reguły prolongowanych ad infinitum i dyskontowanych w banku emisyjnym, a więc poprostu zaniechano dalszego, kontrolowanego wprawdzie, ale na zlecenie skarbu Rzeszy dokonywanego druku pieniędzy przez instytucję emisyjną. Pozostała ta sama polityka inflacji kredytowej państwa, teraz tylko rolę weksli zajęły skarbowe skrypty dłużne (Lieferschätze), niezdolne wprawdzie do dyskonta jak poprzednie weksle, ale bądźcobądź finansujące roboty tak samo przedwstępnie. Wbrew zapowiedzi są one nie mniej obficie emitowane. Co więcej sfery gospodarcze, stojące wobec trudności kasowych, domagają się dopuszczenia ich do dyskonta, co by było jednak przywróceniem status quo i do czego Schacht nie chce znowóż dopuścić. Odtąd punkt ciężkości miał się przenieść na jeszcze większe pogłębienie drenarzu rynku kapitałowego i jeszcze większe zaciśnięcie śruby podatkowej. Nie należy jednak zapominać, że dla odbudowy gospodarczej Austrii zostaje zastosowana stara wypróbowana emisyjna metoda. Reasumując: Kierownicy gospodarczy III Rzeszy chcą czerpać nadal pełną garścią z dużego kotła „dobrodziejstw" inflacji kredytowej, a jednocześnie chcą się zabezpieczyć przed skutkami inflacji pieniężnej. Nadal chcą zdobywać olbrzymie środki na realizację swych celów, ale niejako teraz z rachunkiem, przenosząc punkt ciężkości z banku emisyjnego do ministerstwa finansów i jego jednolitej kontroli, przykręcając przytem mocniej wszystkie śruby w kierunku zdobycia jak największego udziału skarbu w rosnącym dochodzie społecznym. Skierowanie dyspozycji kapitałowych na wyznaczone ściśle tory jest obok dotychczasowej kontroli życia gospodarczego Niemiec jeszcze jednym czynnikiem kolosalnej wagi kierowania totalnego, czynnikiem, który uszedł zupełnie dziennikarskiej uwagi. Pieniądz wg. doktryny narodowo-socjalistycznej jest tylko liczydłem, brak jego nie powinien być przeszkodą rozwoju gospodarczego. Nadszedł czas gdy jego ilość jest dostateczna. Zamknięto więc chwilowo nadzwyczajny dopływ nowych emisji pieniądza. Ale może w tem obok obaw inflacyjnych była jeszcze jedna przyczyna. Oto przy dotychczasowej metodzie finansowania życia gospodarczego, nie odczuwając trudności kasowych, mimo kontroli, gospodarki dewizowej i trudności penetracji prywatnej na rynku kapitałowym, mogła w pewnym stopniu rozwijać się prywatna działalność przedsiębiorcza w kierunku przez siebie obranym. Teraz możliwości te zostały ograniczone. Faktycznie wydawać może państwo lub przedsiębiorca na jego zlecenie. Tak więc państwo z wielu względów nie zdejmuje swej ręki z koła nakręcania życia gospodarczego. Skala robót państwowych nie tylko nie została zmniejszona, lecz raczej zwiększona, ale przy jednoczesnym przewarstwowieniu ich hierarchii i postawieniu na usługi państwa całej gospodarki.

II. Rezultaty i środki niemieckiej polityki nakręcania koniunktury.

Dotychczasowa dyskusja niemieckiej prasy gospodarczej na temat ostatnich wydarzeń polityki finansowej jest bardzo ciekawa z dwóch względów:

Po pierwsze przy całym „zrozumieniu" dla celowości i doskonałości nowych zarządzeń daje się wyczuć jakby tęsknotę za dawnym systemem redyskonta krótkoterminowych weksli skarbowych (tzw. Sonderwechsel), a więc tęsknota świata finansowego za stosunkowo łatwym zarobkiem no i beztroską płynnością kasową (finansjera żyjąca z różnicy procentów nie odczuła dotychczas ciężaru finansowania państwowego). Dla nas ciekawszą rzeczą będzie rzucona przy dyskusji garść materiału liczbowego, materiału, mogącego nieco oświetlić dotychczasowy system finansowania. Postaramy się tu uwzględnić trzy, zdaniem naszym podstawowe, momenty:

1) Wyniki polityki finansowania z punktu widzenia realizacji celów narodowo- socjalistycznych,

2) skutki gospodarczo-polityczne dla Niemiec i, wreszcie

3) wnioski, jakie my możemy stąd dla siebie wyciągnąć.

O ile chodzi o realizację celów postawionych przez narodowy socjalizm, polityka aktywizmu gospodarczego przyniosła pełne rezultaty. Nie tylko usunięto zupełnie bezrobocie, co było zadaniem I-go planu czteroletniego, ale nawet w czerwcu rb. wydane zostało zarządzenie o zapewnieniu dopływu sił roboczych do prac „o szczególnym polityczno-państwowym znaczeniu", nie mówiąc o tem, że do pomocy w wyjątkowo pomyślnych w br. żniwach wydatnie zaangażowano członków partii i młodzież hitlerowską. To wprowadzenie na rynek konsumencki milionowych rzesz nowych nabywców miało kolosalne znaczenie. Drugi, a właściwie kardynalny cel — odbudowa siły zbrojnej

— został zrealizowany. Należy przy tem pamiętać, że właściwie odbudowa siły zbrojnej nie ogranicza się do kwestii tej czy innej ilości pancerników czy samolotów, ale do całego przygotowania gospodarczego, a więc zarówno motoryzacji, budowy, autostrad, zaopatrzenia w surowce jak i autarchii konsumcyjnej. Realizacją, właśnie tych zadań zajmuje się skutecznie II plan czteroletni.

Warto zaznajomić się ze stroną finansową tych doniosłych nie tylko dla Niemiec zamierzeń. Pod tym względem bardzo ciekawy materiał, obok dyskusji kredytowej, daje nam świeżo wydane manuskryptem sprawozdanie Tow. Kred. Rzeszy „O rozwoju gospodarczym Niemiec w II połowie 1938 r.". Jest to materiał tem cenniejszy, że jak wiadomo w Niemczech nie ogłasza się ani budżetu ani zamknięć rachunków państwa, a materiał liczbowy, który się podaje opinii publicznej ilustruje raczej efekty niż tłumaczy przyczynę.

O ile chodzi o osiągnięcia na polu gospodarczym, to można by je krótko określić jako pełne ożywienie, przy pełnym zatrudnieniu i często wykorzystaniu w 100% zdolności wytwórczych. Dochód społeczny wzrósł z 46 miliardów RM w r. 1933 na 68 mil. RM w roku 1937.

Jakimiż środkami finansowymi zdołano przeprowadzić nakręcenie koniunktury? Dochody państwa wzrosły od roku 1932/33 przeszło dwukrotnie, osiągając w roku 1937/38 sumę prawie 14 miliardów marek. Należy jednak dodać, że do takiego wzrostu dochodów przyczyniło się nie tylko skuteczne nakręcanie koniunktury, ale i bynajmniej nie małe zaciśnięcie śrub podatkowych. (Np. ostatnio podnosi się podatek od spółek). Tak więc praktyka podatkowa współczesnych Niemiec odbiega daleko od zasad teoretyków hitleryzmu w okresie walki o władzę, że tu wspomnę choćby Federa, który za ideał państwa narodowo-socjalistycznego uważał państwo bez podatków. No, ale rzeczywistość dowiodła, że państwo bez podatków pozostało nadal nieosiągalnym ideałem. Jednocześnie ze wzrostem dochodów spadły zasiłki na bezrobotnych z 2,8 mrd. RM do niecałych 500 mil. RM, wysokość składek nie została jednak zmniejszona.

W efekcie na skutek ożywienia, przychodowa strona normalnego budżetu niemieckiego poprawiła się w porównaniu z r. 1932/33 o imponującą sumę 10 miliardów RM.

Naturalnie, że normalne dochody nie wystarczyłyby na pokrycie zawrotnej wysokości wydatków na roboty publiczne. Jako drugie źródło finansowania należy wymienić udział w dochodzie społecznym w postaci pożyczek. Udział ten w roku 1937 zamykał się pokaźną kwotą 4 mrd. RM. Jako wyraz sztuki totalnego rządzenia należy podkreślić fakt, iż subskrypcja tak wysokich pożyczek nie tylko pokrywała wyznaczony kontyngent ale musiano wykładać nowe transze. Pod względem wydajności wszystkie dotychczasowe rekordy pobiła ostatnia pożyczka konsolidacyjna, przynosząc w dwóch emisjach w pierwszym półroczu br. sumę 3,5 mrd. RM.

Nie te dwa jednakże źródła finansowania były główną tajemnicą powodzenia eksperymentu Schachta. Było nią zdobycie olbrzymich środków finansowych drogą przedwstępnego finansowania przy pomocy banku emisyjnego. Tylko wtajemniczeni wiedzą na jakie sumy były wystawiane krótkoterminowe weksle skarbowe (Sonderwechsel), dyskontowane w Reichsbanku. W pierwszym okresie nakręcania koniunktury, o ile biletów skarbowych wydano na sumę 1,5 mrd. RM to t.zw. weksle pracy (Arbeitsbeschaffungswechsel) sięgały wielu milionów. Wiadomo jedynie, że w momencie zmiany metody finansowania na koniec kwietnia br. w instytucjach kredytowych publicznych i prywatnych było weksli na sumę 6.078 mrd. RM z czego 6,1 mrd. RM stanowiły tzw. Sonderwechsel. Ile weksli skarbowych zawiera portfel Reichsbanku jest rzeczą nieznaną. W każdym razie skarb nie kwapi się bynajmniej z ich wykupywaniem. Wiadomo tylko, że ciężar weksli skarbu w posiadaniu instytucji kredytowych będzie przerzucony na rynek kapitałowy (narazie przez tzw. Lieferschätze i Blockwechsel, które w następnej kolejce dołączą się do ogólnego drenażu rynku kapitałowego. W każdym razie suma kredytu wekslowego w Reichsbanku od lutego 1937 r. do lutego br. wzrosła o 860 mil. RM, osiągając kwotę 5,6 mrd. RM tj. o 3,2 mrd. więcej niż w roku 1933.

Obieg środków pieniężnych wzrósł z 5,4 mrd. RM w r. 1933 na 7,2 mrd. w rb. Obrót bezgotówkowy w I kwart. br. wzrósł w porównaniu z 1933 o 86,2 mrd. RM tj. o 42%. Jednocześnie pokrycie złota i dewiz spadło z 2,8 mrd. RM. w r. 1929 i 0,9 mrd. w r. 1933 na 76 milionów w 1938 r.

Próbując zestawić całość środków finansowych w roku kalendarzowym 1937 dojdziemy do bardzo ciekawych liczb:

1)	Dochody z podatków i ceł wyniosły okrągło	14 mrd. RM
2)	Podatki krajowe i gminne	4,5 „ „
3)	Nadwyżka wpływów do ubezpieczeń od bezrobocia	1,7 „ „
	Razem	20,2 mrd. RM

czyli około 30% dochodu społecznego. Gdy dodamy do tego udział państwa w dochodzie społecznym w postaci pożyczek w wysokości 4 mrd. RM i o ile dalej doliczymy cały szereg dodatków do ubezpieczeń społecznych, które za pośrednictwem organizacji publiczno-prawnych są skierowywane na realizację celów państwowych, a wreszcie gdyby uwzględnić wekslowy kredyt emisyjny — to już i tak olbrzymia kwota środków finansowych przekroczy znacznie 30 miliardów marek rocznie, a więc przeszło połowę całego dochodu społecznego. Fakt ten posiada podwójne znaczenie: Po pierwsze widzimy, że główny a nawet wyłączny ciężar finansowania ożywienia gospodarczego spoczywa w rękach państwa. Państwo jest głównym motorem gospodarki społecznej. Po drugie świadczy to o olbrzymich możliwościach państwa totalnego w finansowaniu swoich zamierzeń.

III. Metody finansowania i jej skutki polityczno-gospodarcze dla Niemiec.

Metoda finansowania III Rzeszy jest konsekwencją poglądu ekonomicznego, doszukującego się rozstrzygających dla ożywienia gospodarczego sił nie w sferze pieniądza, lecz wyłącznie w sferze dóbr. Pieniądz spełnia tylko rolę liczydła, a jego ilość powinna być taka, aby wystarczała do uruchomienia potrzebnych sił produkcyjnych kraju. To też gdy w początkowym okresie hitlerowskie Niemcy miały dostateczne rezerwy w pracy i surowcach, a zdolności produkcyjne były, na skutek kryzysu, w znacznej swej części nie wykorzystane, państwo czerpiąc hojnie z emisyjnego kredytu uruchomiło wielkie roboty. W początkowym stadium obawiano się raczej skutków deflacji, to też nie stawiano granic wydatkom, bez obawy zachwiania równowagi między strumieniem dóbr i pieniądza. Aż wreszcie gdy kontrola tej równowagi stała się trudna do przeprowadzenia na skutek wyczerpania się wolnych rezerw produkcyjnych, niewątpliwie wiele widzący Schacht powiedział: Stop! Dotychczasowa droga emisyjna nie jest dogodnym gościńcem, po którym można wiecznie kroczyć. Odtąd miano pozostać przy źródłach finansowania z bieżącego dochodu społecznego (podatki i pożyczki długoterminowe). Jak jednak na wstępie wspomniano, ani przejściowy okres międzyfinansowania (Zwischenfinansierung) zapomocą skryptów dłużnych skarbu (Lieferschätze), ani zachowanie metody emisyjnej w Austrii nie wprowadzają radykalnych zmian w systemie ogólnym finansowania.

Przyszłość niedaleka pokaże, czy niewątpliwie wielce mądremu „Czarnoksiężnikowi" Schachtowi uda się powstrzymać od użycia bądź co bądź łatwych i skutecznie dotychczas stosowanych metod emisyjnych. Gdyby jednak i to się udało, to niewątpliwie możliwości zwiększenia i tak już dużego udziału państwa w dochodzie społecznym będą stale malały, a wydatki na utrzymanie całości życia gospodarczego w optymalnym natężeniu stale rosły (pomijając już nawet rosnącą obsługę długów publicznych).

I znowu wychodząc od strony strumienia dóbr pojawiają się na widnokręgu gospodarczym Niemiec czarne chmury, grożące pełnemu wykorzystaniu sił produkcyjnych kraju, tem groźniejsze, że brzemienne znów w skutki socjalne. Przy pełnym zatrudnieniu a nawet braku sił roboczych prowadzenie dalszej polityki finansowania wstępnego mijałoby się z celem państwowym, podniosłoby tylko nominalne płace i ceny, gdyż dyspozycje pieniężne (nowe) nie uruchomiłyby sił produkcyjnych, a tylko zwiekszyłyby popyt na siły robocze. Z drugiej strony zwiększenie zdolności nabywczej robotnika przy niemożności zwiększenia produkcji dóbr konsumcyjnych przerodziłoby się w nieuniknioną mimo najsurowszej kontroli, zwyżkę cen.

Częściowe wyjście z tej sytuacji mogłyby przynieść: 1) przedłużenie czasu pracy, 2) zwiększenie wydajności robotnika, 3) mechanizacja i modernizacja aparatu wytwórczego, 4) przejście od robót prymitywnych do bardziej intensywnych. Pomijając niepopularność społeczną niektórych z tych reform, przeprowadzenie ich wymaga dłuższego czasu. W każdym razie nowym wkładom pracy musiałyby odpowiadać nowe możliwości surowcowe. Niezależnie od surowców przemysłowych przy nowych dyspozycjach wytwórczych konieczne byłoby zwiększenie zaopatrzenia w surowce konsumcyjne, aby istniał interes robotnika w zwiększeniu wydajności jego pracy. Już teraz istnieje dysproporcja między tem, co robotnik niemiecki słyszy, widzi i czem jeździ — a tem co je i w co się ubiera. Zaopatrzenie w te dwie grupy surowcowe jest ściśle związane z handlem zagranicznym Niemiec no i z polityką zbrojeniową (autarkia rolna). Toteż nawet nowym możliwościom wytwórczym nie dotrzymałby kroku eksport do krajów „surowcowych", dziś zresztą najczęściej dążących do uprzemysłowienia. Pozatem obroty niemieckiego handlu zagranicznego spadają dziś nie tylko z gospodarczych powodów. Klasycznym przykładem jest U. S. A., w przywozie których udział Niemiec spadł z 10,3% w roku 1913 na 3% w r. 1937. Niemcy są chyba jedynym państwem na czarnej liście przywozu Stanów Zjednoczonych.

Obok wspomnianej polityki autarchii import płodów rolnych utrudnia polityka cen ochronnych krajowego rolnictwa. (Tegoroczne wielkie urodzaje zbóż w Niemczech przyczynią się niezawodnie do zwiększenia zapasów a nie do obniżki cen, która by te zapasy uszczupliła). Tak więc wydaje się niemożliwe podniesienie konsumcji ludności, co by zapobiegło deprecjacji pieniądza w wypadku zbyt hojnego korzystania z kredytu emisyjnego. W tym świetle poprawa bytu szerokich mas ludności w najbliższym czasie wydaje się wątpliwa.

Ale i metoda bezpośredniego zwiększenia udziału państwa w dochodzie społecznym nasuwa pewne refleksje. Już teraz na skutek zbyt silnego drenażu rynku kapitałowego zaznaczył się spadek kursów papierów wartościowych, co nam znów nasuwa refleksję na temat cudów finansowania „z niczego". Cały przyrost kapitalizacji został zamrożony w papierach państwowych. Odmrożenie możliwe jest jedynie przez zwiększone wpływy podatkowe w przyszłości, a więc przez przesunięcie większej części dochodu społecznego na państwo... lub... przez spadek kursów, ale wówczas nie będzie kapitalizacji prywatnej.

Tak więc tajemnice finansowania niemieckiego można by wyjaśnić następująco: 1) w dziedzinie zatrudnienia — jako przesunięcie części dochodu na pozbawionych pracy ze strony tych, którzy ją mieli (a więc realizacja tą drogą sprawiedliwości społecznej), 2) w dziedzinie robót państwowych — jak zrzeczenie się wszystkich obywateli z części konsumcji, co jest w swym ekonomicznym działaniu zjawiskiem indentycznym z nadmiernym opodatkowaniem. Tak więc druga zasada finansowania sprowadzałaby się do postulatu „ofiarności". Na skutek tego przesunięcia i tej konfiskaty dochodu społecznego nastąpiło w pewnej chwili uzyskanie równowagi sił gospodarczych, przejawiające się i we wzroście objektywnej wielkości dochodu społecznego, przeznaczonego do podziału.

Należy jednak pamiętać, że gdyby na skutek tych czy innych ewolucji obywatelowi nic nie pozostało poza tem, co skonsumował i przejechał, to w państwie Niemieckim pozostanie rozbudowana siła zbroj-

na i rozbudowany do najwyższych granic potężny aparat produkcyjny, zdolny do nieograniczonej niemal ekspansji gospodarczej. A moment szczytowy osiągnięć zjednoczonej i ofiarnej walki może być brzemienny w nie dające się przewidzieć skutki.

IV. Wnioski dla nas.

Polityka aktywizmu finansowego Niemiec mimo przedstawionych niebezpieczeństw, na tle jej niewątpliwie udanych eksperymentów, nie może być dla nas obojętna. Należy pamiętać, że uleczyła ona bolączki, które specjalnie mocno odczuwamy, i na które Niemcy znalazły skuteczne lekarstko. Ale co jest rzeczą najważniejszą, całość naszych warunków gospodarczych pozwala nie bać się jadu lekarstwa, który tak wielkie niebezpieczeństwa przedstawia w III Rzeszy. Nie mamy u siebie obawy nadprodukcji, gdyż mamy ciągle jeszcze niedokonsumcję. Nie grozi nam przerost aparatu produkcyjnego. Nie brak nam też ani rąk roboczych, ani podstawowych surowców. Chodzi tylko o uruchomienie leżących odłogiem sił produkcyjnych, chodzi o to aby istniejące już elementy tworzyły nowe wartości, które naturalnie zwróciłyby antycypowane środki finansowe.

STEFAN ZAWADZKI

NOWY WSKAŹNIK PRODUKCJI PRZEMYSŁOWEJ W ŚWIETLE ANALIZY

„Gospodarka Narodowa" oddawna już podkreślała, że dotychczasowy wskaźnik produkcji przemysłowej, jako oparty w przeważającej części na danych o zatrudnieniu, nie odpowiada rzeczywistości: nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że okres kryzysu był okresem wybitnie zwiększającej się wydajności pracy i że tem samem produkcji przedkryzysowej i pokryzysowej nie można w żaden sposób porównywać ze sobą na podstawie zatrudnienia. I rzeczywiście oparcie nowego wskaźnika produkcji Instytutu Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen na wartości produkcji netto dało spodziewany przez nas wynik: produkcja przemysłowa okazała się znacznie wyższa, niż ją dotychczas szacowano, w szczególności wskaźnik jej obliczony w stosunku do roku przedkryzysowego 1928 wykazał np. dla pierwszego półrocza 1938 r. 119.1 punktów, gdy dotychczasowy wskaźnik oparty przeważnie na zatrudnieniu wynosił wszystkiego 92.0 punkty. W ten sposób różnica między dawnym a nowym wskaźnikiem wyniosła dla pierwszego półrocza b. r. prawie 30 procent. I właśnie tak znaczny rozmiar różnicy między dwoma wskaźnikami stał się powodem, że z wielu stron posypały się liczne zastrzeżenia co do prawdziwości nowego wskaźnika, który wydał się zbyt „optymistyczny" w stosunku do codziennie obserwowanej rzeczywistości. Podkreślano, że trudno wyobrazić sobie, aby wydajność pracy mogła u nas w międzyczasie urosnąć aż tak znacznie, skoro racjonalizacja warsztatów przemysłowych ze względu na wciąż niedostateczne rozmiary nowych inwestycyj nie mogła ulec poważniejszym zmianom. We wszystkich powyżej nakreślonych zastrzeżeniach zapomniano jednak zupełnie, że wydajność pracy może wzrastać nie koniecznie w związku z racjonalizacją warsztatów, że od dawna znana jest także droga inna, szczególnie łatwa do użycia właśnie w okresach kryzysu i związanego z nim ostrego zwiększenia się zapasowej armii pracy w postaci rosnącego bezrobocia.

Drogą tą jest narzucenie przez pracodawcę nowych wyższych norm pracy przy tych samych, niezmienionych warunkach technicznych pod groźbą redukcji. Pozostają przy warsztatach jedynie najsilniejsi i najzdolniejsi.

Otóż ogłoszony nowy wskaźnik produkcji przemysłowej w zupełności potwierdza, że dysproporcja między zmianami rozmiarów produkcji przemysłowej i zatrudnienia dokonała się na tej właśnie przede wszystkim drodze. Okazuje się bowiem, że począwszy od roku 1934, a więc od czasu wyraźnej poprawy sytuacji w przemyśle dysproporcji tej nie ma, dysproporcja narasta stopniowo całkowicie jedynie w latach kryzysu, a więc w tych latach, kiedy trudno mówić o ruchu wzrostu poziomu technicznego polskiego przemysłu.

Jeżeli obliczymy wzrost nowego i dawnego wskaźnika produkcji przemysłowej dla pierwszej połowy b. r. w stosunku do roku 1933, to okaże się, że w tym czasie nowy wskaźnik produkcji przemysłowej wzrósł o 70.0%, dawny zaś o 66.1%. Innymi słowy okaże się, że przyrost produkcji, liczonej według wartości netto od roku 1934, odpowiada prawie zupełnie ściśle wzrostowi zatrudnienia i że tem samem w okresie pomyślnym dla rozwoju produkcji przemysłowej nie następował prawie zupełnie wzrost wydajności pracy. Ten stan rzeczy przemawia jednocześnie — naszym zdaniem — na korzyść prawdziwości nowego wskaźnika produkcji przemysłowej, ponieważ uzależnia wzrost produkcji przemysłowej w okresie pokryzysowym nieomal całkowicie od wzrostu zatrudnienia, co wobec wysokich norm wydajności pracy ustalonych w okresie kryzysowym i braku wyraźniejszego wzrostu poziomu technicznego naszych warsztatów wytwórczych w okresie pokryzysowym w zupełności odpowiada prawom o wzroście zatrudnienia przy rosnącej w związku z rozszerzonym rynkiem zbytu produkcji. Skoro zaś wysoka procentowa różnica między nowym a dotychczasowym wskaźnikiem produkcji przemysłowej Instytutu Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen narosła całkowicie w latach kryzysu, dowodzi to tylko, że wobec tak ciężkiego i długotrwałego kryzysu, jakim był kryzys ostatni, przemysł polski mógł z łatwością narzucić znacznie wyższe normy wysiłkowi ludzkiemu, pozostawiając przy warsztatach pracy jedynie najsilniejszych i najzdolniejszych, co nie może wydawać się rzeczą nieoczekiwaną. Było w czem wybierać pod straszną groźbą redukcji. Ciekawą rzeczą jest stwierdzić, jak w tych latach narastał wysiłek pracownika.

W tym celu przyjrzyjmy się, jak w latach 1929 — 1933 narastało rozpięcie między nowym wskaźnikiem produkcji obliczonym na podstawie produkcji netto a dawnym opartym w przeważającej części na rozmiarach zatrudnienia.

Rok	Dawny wskaźnik	Nowy wskaźnik	Procent rozpięcia między wskaźnik.
1928	100.0	100.0	
1929	99.7	101.9	2.2
1930	81.8	89.7	9.6
1931	69.3	78.2	12.8
1932	53.7	63.7	18.6
1933	55.4	70.0	26.4
1934	62.8	78.8	25.5
1935	66.4	84.9	27.9
1936	72.0	94.3	31.0
1937	85.0	111.0	30.1
1-sza połowa 1938	92.0	119.1	29,5

Jak widać z przytoczonej tabliczki, rozpiętość między dwoma wskaźnikami w pierwszych dwóch latach kryzysu wzrasta mniej, niż w dwóch latach następnych, przy czem po silnym wzroście tej rozpiętości w roku 1930 — pierwszym roku kryzysu — w następnym roku, kiedy nie zdawano sobie na ogół jeszcze sprawy, jak głęboki jest przeżywany kryzys, zmniejszenie zatrudnienia przewyższyło zmniejszanie rozmiarów produkcji w stopniu stosunkowo nieznacznym. W dwóch latach następnych jednak, kiedy głębokość kryzysu stała się powszechnie zrozumiała, zmniejszenie zatrudnienia przewyższa znowu bardzo znacznie zmniejszenie rozmiarów produkcji, osiągając stopień wyższy, niż w latach 1930 — 31.

Ta dynamika rozwoju wzrastania rozpiętości między dwoma wskaźnikami znowu przemawia — naszym zdaniem — na korzyść nowego wskaźnika, odpowiada bowiem ona najzupełniej narastaniu tych możliwości, które w związku z rozwojem kryzysu stawały przed przemysłem polskim w zakresie podniesienia norm pracy nawet przy niezmienionych warunkach technicznych warsztatów.

Od roku 1934 wraz z odradzaniem się produkcji przemysłowej narastanie rozpiętości między wskaźnikami —nowymi i dawnym — jak to już w inny sposób zaznaczyliśmy wyżej — dokonywa się w tempie tak nieznacznym, że może z łatwością być uważane bądź za mieszczące się w granicach zrozumiałych różnic między dwoma metodami obliczeń statystycznych bądź też w części może się tłumaczyć pewnym postępem technicznym polskich warsztatów przemysłowych. O nowym ataku na wysiłek ludzki ze strony przemysłu w tych czasach nie ma mowy. A w ostatnim półtora-leciu obserwujemy nawet pewne zmniejszanie się rozpiętości między obu wskaźnikami, co jeżeli nie jest różnicą dwóch różnych obliczeń, mogło by być, w związku z dochodzeniem w tym czasie szeregu gałęzi produkcji przemysłowej do wyczerpywania swojej zdolności produkcyjnej, uważane znowu za proces w pełni zrozumiały.

Jednocześnie nowy wskaźnik produkcji przemysłowej usuwa wreszcie niezrozumiałą dysproporcję, jaka istniała między dawnym wskaźnikiem produkcji przemysłowej a wskaźnikiem wartości realnej wypłat robotniczych w przemyśle. Niezrozumiały był bowiem fakt, aby wartość realna wypłat robotniczych w przemyśle kształtowała się wyżej od rozmiarów produkcji. Znaczyło by to bowiem, że produkcja przemysłowa jest w ostatnich latach bardziej obciążona kosztami robocizny, niż miało to miejsce w roku 1928. Wprawdzie widoczne było w związku z bardzo silnym natężeniem ruchu strajkowego w Polsce w latach kryzysu, że obniżka nominalna płac była w Polsce stosunkowo nieznaczna, co w związku z poważnym spadkiem kosztów utrzymania musiało doprowadzić do pewnej zwyżki realnej wartości płac w Polsce. Tem niemniej brak ostatnio poważniejszych lokautów ze strony przemysłu uniemożliwiał przyjęcie za słuszne stwierdzenia, że przemysł polski jest obciążony wyżej kosztami robocizny, niż w latach przedkryzysowych. Bardziej zrozumiałe było przypuszczenie, że nie mogąc obniżyć kosztów robocizny na drodze obniżki płac, przemysł polski wybrał, jako drogę do tej obniżki, stopniowe zwiększenie norm pracy, co na ogół ze zrozumiałych powodów natrafiało na stosunkowo mniejszy opór ze strony klasy robotniczej.

Nowy wskaźnik produkcji przemysłowej całkowicie potwierdza to przypuszczenie: wskaźnik realnej wartości wypłat robotniczych w przemyśle jest od szeregu lat, bo już od roku 1932 niższy od nowego wskaźnika produkcji przemysłowej.

Rok	Nowy wskaźnik produkcji przem.	Wskaźnik realnej wartości wypłat robotniczych w przemyśle	Rozpiętość między wskaźnikami w procentach
1932	63.7	61.4	3.6
1933	70.0	62.7	10.4
1934	78.8	71.2	9.6
1935	84.9	76.3	10.1
1936	94.3	87.1	7.6
1937	111.0	100.0	9.9

Z przytoczonej tabelki widać, że począwszy od roku 1933 wartość realna zarobków robotniczych w przemyśle jest niższa w przybliżeniu około 10% od odpowiednich rozmiarów produkcji, co oznacza, że z grubsza w tych mniej więcej granicach przemysł zdołał obniżyć realne koszta robocizny w wyniku przebytego kryzysu.

Ten stan rzeczy wyjaśnia nam niezrozumiały przy dawnym wskaźniku produkcji przemysłowej brak dążenia ze strony przemysłu do obniżki formalnie stosunkowo wysokich norm płac realnych. Przemysł może płacić stosunkowo więcej robotnikowi wydatniejszemu, skoro i w ten sposób osiągnął rzecz najważniejszą — obniżkę kosztów robocizny.

Uważamy, że gdyby produkcja przemysłowa nie kształtowała się w Polsce rzeczywiście w granicach ustalonych przez obecny wskaźnik produkcji przemysłowej, nie mogło by być mowy o tej wysokości wartości realnej wypłat robotniczych w przemyśle, którą ustalał odnośny wskaźnik.

I dlatego w ustosunkowaniu się obecnego wskaźnika produkcji przemysłowej i wskaźnika realnej war-

tości wypłat robotniczych widzimy ważki argument przemawiający za dobrym ujęciem przez nowy wskaźnik produkcji przemysłowej rzeczywistości polskiej w tym zakresie.

*

* *

Ogłoszone już po napisaniu pomieszczonych wyżej rozważań nowe wskaźniki produkcji przemysłowej dla *poszczególnych* przemysłów nasuwają przy analizie cały szereg wniosków, z których sformułowaniem trzeba jednak zaczekać do podania szczegółowych wyjaśnień Instytutu Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, dotyczących metody obliczenia nowego wskaźnika. O ile bowiem można — naszym zdaniem — bez specjalnych obaw przyjąć np., że włączenie do obliczeń nowego wskaźnika produkcji przemysłowej również zakładów przemysłowych, zatrudniających od 5 — 20 robotników, nie mogło w wybitniejszy sposób wpłynąć na różnicę w dynamice między nowym a dawnym *ogólnym* wskaźnikiem produkcji przemysłowej (zarówno ze względu na to, iż nie można przeceniać zasadniczych przekształceń, które mogły zajść w latach 1928 — 1937 w ustosunkowaniu się w Polsce produkcji mniejszych zakładów (od 5 do 20 robotników) do produkcji zakładów większych (powyżej 20 robotników), uwzględnianych wyłącznie przez dawny wskaźnik produkcji przemysłowej, jak i ze względu na zasadniczą wagę produkcji zakładów mniejszych w sumie produkcji obu rodzajów zakładów), to, jeżeli chodzi już o poszczególne przemysły przetwórcze, różnice wynikające z rozszerzenia masy uwzględnianych zakładów mogły z łatwością wywrzeć w poszczególnych przemysłach dość znaczny wpływ na różnice w dynamice nowego i dawnego wskaźnika produkcji przemysłowej, obliczonego dla poszczególnych przemysłów. Mamy nadzieję, że Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen nie omieszka w swoim czasie podać do wiadomości, jak kształtowałby się nowy wskaźnik produkcji przemysłowej poszczególnych przemysłów, gdyby przy jego obliczaniu została jedynie zmieniona dawna zasada opierania się na zmianach w zatrudnieniu na nową zasadę, wychodzącą ze zmian wartości netto produkcji, ale jednocześnie nie została, jak to się stało, rozszerzona masa uwzględnianych zakładów przemysłowych. W ten sposób będziemy mogli zapoznać się dokładnie z różnicami dynamiki rozwoju produkcji przemysłowej poszczególnych przemysłów w latach 1928 — 1937 w mniejszych i większych zakładach, co samo przez się będzie sprawą niezmiernie interesującą, a na co publikacje dotyczące produkcji przemysłowej, ogłaszane przez G. U. S., nie pozwalają bez szczegółowej analizy niedostępnej praktycznie dla poszczególnych badaczy poprostu ze względu na ogrom potrzebnej do tego pracy rachunkowej.

O ile więc w początkowych rozważaniach uważaliśmy za możliwe nie uwzględniać, jako poważniejszego elementu, wpływającego na różnicę między ogólnym wskaźnikiem produkcji przemysłowej przy nowym i dawnym obliczeniu, zmian w masie uwzględnianych zakładów i wyciągać wnioski, jakby te zmiany nie miały w ogóle miejsca, o tyle, rozumiejąc poważną wagę produkcji mniejszych zakładów (od 5 — 20 robotników) w niektórych przynajmniej przemysłach przetwórczych, uważamy, że porównywanie nowego wskaźnika z dawnym dla ustalenia zmian zachodzących w wydajności pracy w latach 1928 — 1937 w poszczególnych przemysłach przetwórczych nie może prowadzić, w obawie popełnienia przypadkowych błędów, do tak bezpośrednich wniosków, jak to miało miejsce przy porównywaniu dla tego samego celu wskaźników ogólnych produkcji przemysłowej.

Mimo tych zastrzeżeń jest, w świetle poprzednich naszych rozważań, rzeczą interesującą, że dla przemysłu metalowego i maszynowego, który przy nowym obliczeniu wykazuje 132,3 punktów dla roku 1937 i który wzrósł między rokiem 1933 a 1937 aż o 106,7%, rozpiętość między wskaźnikami nowym i dawnymi wynosi w roku 1937 — 39%, a w roku 1933 — 41,9%. Ze względu na znaczenie w tym przemyśle większych zakładów z pewnością wskazuje to, że w latach 1934 — 1937 nie zaszły w tym przemyśle żadne poważniejsze zmiany w wydajności pracy, czego zarówno ze względu na tempo rozwoju wymienionego przemysłu, jak i na wysoką rozpiętość osiągniętą między dawnym a nowym wskaźnikiem do roku 1933 należało by się właśnie spodziewać.

Natomiast dla przemysłu włókienniczego rozpiętość między dawnym a nowym wskaźnikiem produkcji w przeciwieństwie do przemysłu metalowego i maszynowego wzrosła dość znacznie między latami 1934 — 1937, w roku 1933 wynosiła bowiem 22,2%, a w roku 1937 — 32,5%. Ale nowy wskaźnik produkcji dla tego przemysłu wynosi dla roku 1937 tylko 108,0 punktów, a wzrost między rokiem 1933 a 1937 tylko 47,3%. Z liczb tych skłonni jesteśmy wnioskować, że przemysł włókienniczy podnosił wydajność pracy robotniczej, nie sądzimy bowiem, aby w tym przemyśle na taki wzrost rozpiętości między wskaźnikami — nowym i dawnym — w latach 1934 —1937 mógł wpłynąć w znacznym stopniu szybszy rozwój produkcji w mniejszych zakładach, zwłaszcza, że znowu wiadome jest znaczenie udziału w tym przemyśle zakładów większych.

Ograniczamy się narazie do tych dwóch charakterystycznych — naszym zdaniem — przykładów, obiecując powrócić do dalszej szczegółowej analizy nowego wskaźnika produkcji przemysłowej po dalszych wyjaśniających publikacjach Instytutu, które — jak sądzimy — pozwolą naświetlić również sprawy nie wysunięte w powyższych rozważaniach.

UWAGI

O JASNĄ POSTAWĘ

Opinia publiczna w Polsce, która na ogół niezbyt silnie interesuje się położeniem naszego gospodarstwa w stosunku do t. zw. gospodarstwa światowego, albo — lepiej — w stosunku do położenia innych organizmów gospodarczych na świecie, zajęła się ostatnio pewnym, ważnym skądinąd niewątpliwie, wycinkiem tego problemu, a mianowicie kwestią cen zboża w stosunku do poziomu cen tego artykułu na rynkach międzynarodowych. Z tego słusznego, jak powiadamy, zainteresowania wynikła jasna już dla wszystkich konstatacja, że jesteśmy, jeśli chodzi o ceny zbóż, od zagranicy znacznie *drożsi*.

Różnica pomiędzy wewnętrznym poziomem cen zbóż w Polsce i „cenami światowemi", różnica tak znaczna, że nie pokrywa jej w tej chwili nawet zwrot cła stosowany przy wywozie zbóż z Polski za granicę, nabrała — być może — tak wielkiego rozmiaru na skutek szczególnie słabej tendencji zbóż na giełdach zagranicznych. Ale — należy to sobie powiedzieć odrazu — nawet wówczas, gdyby tendencja ta nie była *szczególnie* słaba, to jednak polskie wewnętrzne ceny byłyby przecież jeszcze znacznie ponad poziomem cen światowych. Wyrównanie mogłoby nastąpić dopiero, gdyby ceny światowe *szczególnie* silnie poszły w górę, jak to miało miejsce np. w okresie 1935 — 1937, kiedy różnica pomiędzy przeciętnemi rocznemi cenami zbóż na rynkach światowych wyniosła na przestrzeni 2 lat przeszło 50%.

Powtarzamy — rozpiętość pomiędzy cenami zboża u nas i na świecie jest, być może obecnie szczególnie ostra, ale rozpiętość ta w nieco złagodzonej mierze istniałaby i bez katastrofalnego spadku cen zboża na rynkach międzynarodowych. Albowiem zboża nie są u nas wyjątkiem z reguły, panującej w zakresie stosunku naszego poziomu cen do poziomu „światowego". W dużej większości wypadków i w innych produktach naszych jesteśmy zagranicą drożsi od przeciętnego istniejącego tam poziomu cen.

Fakt ten jest na ogół pomijany u nas jakoby wstydliwym milczeniem. A przecież nie ma w nim nic a nic upokarzającego. Wiemy dokładnie, *dlaczego* jesteśmy na ogół drożsi od zagranicy. Że — poprostu — nasze ceny spadły w gruncie rzeczy od czasów przedkryzysowych o wiele silniej od zagranicy, ale że jednocześnie ceny zagraniczne wyrażane w złocie uwzględniają zmiany, jakie zaszły na rynkach światowych w dziedzinie *wartości poszczególnych walut*.

Tu jest, zdaje się, sedno owej „wstydliwości", o której mówiliśmy poprzednio. Albowiem utarło się jakoś w praktyce naszych dyskusji gospodarczych ostatnich lat, iż każde stwierdzenie podkreślonego dopiero co faktu ma koniecznie prowadzić od wymiany zdań na temat takiego czy innego ustosunkowania się do zmiany wartości naszego złotego. Poprostu, konstatując, iż jesteśmy drożsi od zagranicy ponieważ szereg krajów zdewaluował, wywołujemy dyskusję, czemu to nie dewaluujemy i my... A to znów z wielu względów jest, istotnie, niepotrzebne.

Tymczasem zaś zagadnienie dewaluowania czy niedewaluowania nie ogranicza się bynajmniej do jednego tylko aspektu wyrównywania własnego poziomu cen z cenami „światowemi". Gdyby tak było, niewątpliwie wszystkie państwa zdewaluowałyby, począwszy od 1931 roku, już dawno. Sam fakt, iż tak się nie stało, powinien dać do myślenia nawet laikom w dziedzinie polityki gospodarczej, iż sprawa bynajmniej nie jest tak prosta, jakby wyglądała napozór. I — istotnie — posiada ona aspekty bardzo różnorodne.

A więc — przede wszystkim — zagadnienie stosunku psychicznego ludności danego kraju do jednostki pieniężnej. Do znudzenia powtarzać by tu można znane powiedzenie angielskie z końca 1931 r. o tem, że „waluty kontynentalne poszły w górę", jakkolwiek każdy obiektywnie patrzący obserwator musiał wówczas stwierdzić, iż waluty te nie ruszały się z miejsca, a spadł natomiast — funt angielski. Dla anglika decydującym zawsze będzie funt, inne waluty zaś interesować go będą tylko w relacji do jego własnej. Toż samo w dużej mierze powiedzieć by można i o dolarze, a w mniejszej mierze — o guldenie czy franku szwajcarskim. Wiadomo, że frank francuski jest już o wiele bardziej czuły, jakkolwiek i on pozostaje dla *olbrzymiej większości* społeczeństwa zawsze.. frankiem. Istnieją poprostu waluty, które z uwagi na wysoki rozwój gospodarczy ich krajów, przyzwyczajenie i zaufanie, jakie były ich udziałem od pokoleń, poziom dyscypliny narodowej ludności itd. itd. *nadają się* do przeprowadzania niemi manipulacji celem osiągnięcia tych czy innych wyników gospodarczych. I istnieją inne waluty, które się dla tych celów — nie nadają. Do takich właśnie należy i nasz złoty, który jest walutą, „wrastającą dopiero w ciało" naszego organizmu gospodarczego, a i to w warunkach, kiedy organizm ten bynajmniej ostatecznie uformowany nie jest.

To jedno. Ale istnieją i dalsze względy. Trzeba sobie zdawać sprawę, iż obecny międzynarodowy system walutowy, a więc to, co zastąpiło walutę złotą w stosunkach pomiędzy krajami, posiadającymi swobodę obrotów dewizowych, jest konstrukcją niezmiernie sztuczną i rozmyślnie nietrwałą. Gdyby jeszcze funt i dolar po swym spadku zostały ustabilizowane i gdyby rozwój cen światowych wykazał nam niezbicie, iż *istotnie* obecny kurs naszego złotego jest w stosunku do głównych walut świata (a więc — pośrednio — i do innych walut, równających na tych potentatów) „nadwartościowy", t.j. iż jego parytet siły nabywczej jest zbyt wielki... Wówczas można by zastanawiać się, ostatecznie, nad *jednorazową* operacją „wyrównywującą", po której — znów na kilka pokoleń — miano by spokój. Ale dziś, kiedy co chwila słychać o sporach pomiędzy Londynem i Waszyngtonem, jaka to właściwie ma być relacja pomiędzy kursami obu anglosaskich walut, kiedy poziom cen światowych w złocie waha się z roku na rok i kwartału na kwartał o dobre kilka czy kilkanaście procent, kiedy nikt nie wie, czy „Roosevelt wykorzysta swe pełnomocnictwa" i dolar spadnie do kursu zł 4.45 — czy też nie, w ogóle

nic ma na co równać, nawet, gdyby się chciało. Albowiem jasną jest rzeczą, iż w każdym razie nasze życie gospodarcze nie dorosło do posiadania pieniądza o wartości zmiennej.

Wreszcie — trzeci argument, o którym już zresztą przelotnie wspomnieliśmy. Każda manipulacja pieniężna wywołuje przesunięcia *w wartościach* poszczególnych towarów i usług. Im gospodarstwo lepiej i silniej zorganizowane, tem przesunięcia te odpowiadają lepiej pragnieniom, z którymi przystępowało się do dewaluacji. Ale niechże tylko dewaluacja padnie na organizm niedostatecznie silnie i zwarcie zorganizowany, a już ruchy poszczególnych wartości się wikłają. Typowym przykładem tych kłopotów są Stany Zjednoczone, gdzie zwyżka cen surowców i półfabrykatów wobec zwyżek cen pracy, środków spożywczych, artykułów gotowych itd. nie przeszła i nie przechodzi bynajmniej w tych proporcjach, jakie by się mogły podobać "trustowi mózgów" zgrupowanych wokół Białego Domu. Można z wszelkim prawdopodobieństwem stwierdzić, iż w Polsce nie było by lepiej.

Obok tych głównych przyczyn przeciw-dewaluacyjnych jest i wiele innych ubocznych, o których nie zamierzamy nawet mówić (że wymienimy chociażby tylko sprawę zadłużenia zagranicznego...). Nie to jednak w tej chwili nas interesuje. Dochodzimy bowiem do reasumcji, mówiącej w skrócie:

a) poziom cen w złocie w Polsce jest na ogół wyższy od światowego,

b) droga manipulacji pieniężnych dla wyrównania tego poziomu jest u nas w ogóle niebezpieczna, w chwili obecnej zaś — niecelowa i rokująca małe szanse pozytywnego przeprowadzenia.

Z tych dwu przesłanek powinien wypaść jakiś wniosek. Jaki? Oczywiście tylko ten, że manipulacji pieniądzem przeprowadzać nam absolutnie niewolno, że natomiast tam, gdzie tego potrzeba należy wyrównywać różnice w poziomach cen polskim i światowym *w inny sposób.* Mogą tu być brane pod uwagę reformy czysto techniczne i administracyjne, albo też — w wypadku, jeśli te nie wystarczą, posunięcia dalej idące, stosowane przez wszystkie nieomal kraje, znajdujące się w mniej więcej podobnych do nas warunkach. Po to jednak, aby się na coś zdecydować, trzeba by podyskutować nad charakterem i wydajnością poszczególnych środków zaradczych. Jakżeż to jednak uczynić, skoro „dyskretnie" nie mówi się o rzeczach, z racji których „ktoś" mógłby pomyśleć, że „kto inny" chce manipulować złotym?...

Ostateczny już czas zająć w zasadniczym zagadnieniu kosztów, cen i polityki pieniężnej jakąś jasną postawę. To, czem żyjemy, ogranicza się do wyświechtanych już obecnie gruntownie komunałów, bądź deflacyjnych, bądź dewaluacyjnych (z przed 2—3 lat), a przecież od tego czasu świat poszedł już w ewolucji swych poglądów bardzo silnie naprzód. Czy zawsze musimy być w tej dziedzinie tymi „najostrożniejszymi", którzy w rezultacie wychodzą na ostrożności swej — najgorzej?

fr. k.

GLEBAE ADSCRIPTI

Lotem błyskawicy rozeszła się ostatnio, podana przez prasę, wiadomość o zdecydowanej przez P. K. P., rewizji taryf podmiejskich osobowych. Zapowiedź tego posunięcia miała miejsce w maju na posiedzeniu Państwowej Rady Komunikacyjnej, oraz w artykule, drukowanym w Przeglądzie Gospodarczym [1]). Rewizja polega na tem, iż przez podwyższenie cen biletów, kolej ma zwiększyć swe dochody i tą drogą częściowo zmniejszyć deficyt. Spodziewany wzrost wpływów ma wynieść ca. 9 milj. zł. Deficyt wynosi 41 milj. zł. Z zestawienia powyższych dwu liczb wynika, iż nie można mówić nawet o próbie łatania deficytu. Łata jest zbyt mała. Do pokrycia deficytu brak ca. 32 mil. złotych. (Liczba ta, zupełnie zresztą przypadkowa, w dalszych rozważaniach — również przez przypadek — nabierze cech symbolu). Rewizji więc nie można uznać za nic innego jak za nędzny paliatyw. Użycie tak dosadnego określenia jest usprawiedliwione konstrukcją obecnego systemu taryf osobowych. Należy się przy tem dodatkowo zastrzec, iż użycie słowa „system" jest wielkim komplementem w stosunku do obowiązujących taryf osobowych. Przez system bowiem rozumiemy pewien zespół (w danym wypadku taryf), powiązany jakąś przewodnią myślą w harmonijną całość. Tymczasem taryfy osobowe są „wytworem życia, starcia się określonych sił". Rzecz charakterystyczna, iż dzieje się tak, wbrew zdawaniu sobie sprawy z tego, że „względy kolejowo-akwizycyjne wymagają stosowania gradacji opłat, *według ważności opłat, zamożności podróżnych, częstotliwości i masy podróży — bez naruszenia jednak możliwie praktycznego, jednolitego i uogólnionego podejścia do tych samych okoliczności w podobnych przypadkach"* i przy szukaniu *„optymalnego stosunku pomiędzy masą frekwencji, a ceną".* Rezultatem zaś wyżej stwierdzonej niezgodności praktyki ze zdrowym sensem, względnie teoretycznie ustalonemi wytycznemi, jest wielkość i konstrukcja wpływów P. K. P. z ruchu osobowego. Komunikacja osobowa jest deficytowa. Konstrukcja zaś ruchu i wpływów z tej trakcji jest następująca: ogół osobokilometrów da się podzielić na trzy prawie równe sobie części: jeżdżących za biletami normalnymi (33%), ulgowymi, lecz dostępnymi dla wszystkich, lub prawie dla wszystkich (32%) i ulgowymi, lecz dostępnymi tylko dla uprzywilejowanych (35%). Wpływy z pierwszej kategorii dają prawie 60% z drugiej — 16% i trzeciej — 24%, ogólnych wpływów omawianej trakcji. Do pierwszej kategorii — „normalnej" należa ci „anormalni" podróżni (23% ilości przejazdów), którzy wykupują pełny bilet. Druga obejmuje bilety świąteczne, okręgowe, abonamentowe, tygodniowe, miesięczne, szkolne mies. i wielokilometrowe. Wreszcie serwitutami jest obciążona kolej w postaci ulg dla uprzywilejowanych w wysokości 80, 75, 66, 50 i 33%. Wśród uprzywilejowanych są więc bardziej i mniej uprzywilejowani. (Dziwna perfekcja w rozdawaniu przywilejów). Przypadek

[1]) Nr 11 art. pt. „Ulgi na przejazdy Polskiemi Kolejami Państwowymi". Cytowany artykuł, jako nieoficjalna wypowiedź Ministerstwa Komunikacji, posłuży nam w dalszych wywodach za materiał informacyjny.

tak chce, że gdyby zrównano przywileje wśród uprzywilejowanych i wszystkim im dano „sprawiedliwie” 33%-wą ulgę, wówczas wpływy P. K. P. wzrosłyby akuratnie o owe brakujące 32 mil. złotych. Doprawdy przypadkowy zbieg okoliczności jest aż nadto prowokujący. Oczywiście, gdyby niektóre z przywilejów zostały skasowane w ogóle — co w wielu wypadkach i z wielu względów — byłoby uzasadnione i wskazane, wpływy P. K. P. mogłyby się nieco przekształcić.

Obecną sytuację i obecną rewizję można w skrócie i w pewnym uproszczeniu scharakteryzować w ten sposób, że uprzywilejowani niezamożni płacą za uprzywilejowanych zamożnych. Jak wszędzie tak i tu, realizuje się smutną prawdę życiową o niesprawiedliwym podziale przywilejów i serwitutów. Tylko, czy przedsiębiorstwo użyteczności publicznej jest do tego celu powołane? Co do tego można mieć daleko idące wątpliwości.

Uciążliwe dla P. K. P. przywileje nie są ruszane, natomiast podwyższa się taryfy w ruchu podmiejskim, bo to jest bez porównania łatwiejsze. Bez wahania uderza się w budżety najbardziej niezamożnych warstw pracowników (one stanowią przeważającą klientelę podmiejskich pociągów), natomiast brak odwagi na to, aby uprzywilejowanym, którzy i bez tego są uprzywilejowani (przez wysokość budżetów), uszczknąć nieco ich dochodów. Trzeba pamiętać o tem, że przejazdy kolejowe dla mieszkających pod wielkimi miastami są stałą i poważną pozycją w budżecie, której zwyżka musi się odbić w formie ograniczenia wydatków na inne cele, m. in. żywność, bo to są budżety o przewadze wydatków konsumcyjnych. Dla uprzywilejowanych zaś przejazdy kolejowe nie stanowią ani stałej, ani zbyt wielkiej pozycji w budżecie. Podwyżka jej również nie oznacza konieczności zaciśnięcia pasa.

Przechodząc skolei do omówienia grupy ulg „dostępnych dla wszystkich” pragniemy wskazać iluzoryczność i względność terminu: „dostępne dla wszystkich”. Ulgi te są dostępne dla tych wszystkich którzy... posiadają pozatem dość środków na to, aby np. jadąc do Sławska na narty (co kosztuje paręset złotych) wydać na kolej... zł 20.

I tu zbliżamy się do sedna rzeczy. Gdyby nasze taryfy osobowe nie były swoiście pojętym „wytworem życia”, lecz gdyby je ułożono wedle zacytowanych przez nas na wstępie, zasad, wówczas nie trzeba było by nawet odwagi na skasowanie niemoralnych przywilejów, oraz było by miejsce na danie istotnie koniecznych, usprawiedliwionych i *wypływających z przyjętych zasad ulg*. Bowiem, gdyby opłaty były pobierane z uwzględnieniem chociażby „zamożności podróżnych i ważności potrzeb”, wówczas większość z pośród uprzywilejowanych, musiałaby być pozbawiona zbędnych prezentów, zaś większość z pośród upośledzonych, otrzymałaby *należne im* ze strony państwa świadczenia. Wówczas może — ale to byłaby zbyt różowa przyszłość — wówczas może *glebae adscripti* przestaliby być przymocowani do miejsca stałego pobytu, po blisko stu latach formalnego zniesienia tego bezprawia.

a. s.

INTELIGENCJA I SNOBIZM

Jest rzeczą wiadomą, że nie każdy „inteligent”, urodzony i wychowany w t. zw. lepszych sferach jest człowiekiem inteligentnym i kulturalnym i naodwrót, poza warstwą „inteligencji” znaleźć można dużo ludzi wyposażonych w zdolność samodzielnego myślenia i pojmowania, którzy do tej warstwy nie dostają się z braku warunków natury formalnej i towarzyskiej.

Jakie kryteria, uznane przez opinię, stanowią podstawę zaliczenia danej jednostki do warstwy inteligencji?

Pierwsze — to niewątpliwie poziom kultury umysłowej. Stosowaną ogólnie dotychczas miarą tego poziomu są jednak warunki natury więcej formalnej niż faktycznej — cenzus naukowy matury lub conajmniej sześciu klas szkoły średniej ogólnokształcącej. Chociaż z posiadaniem tego cenzusu nie zawsze łączy się posiadanie kultury w ogóle, a kultury umysłowej w szczególności — kryterium ilości ukończonych klas gimnazjalnych służy powszechnie jako główna podstawa uznania lub nie uznania kogoś za inteligenta.

Drugie kryterium — to rodzaj wykonywanej pracy. Każdy inteligent, który w braku zajęcia w swym fachu zostanie dróżnikiem, listonoszem czy właścicielem ulicznej budki z wodą sodową, może być pewnym, że większość spotkanych na ulicy znajomych przestanie mu odpowiadać na ukłony, a w każdym razie utrzymywać z nim stosunki towarzyskie. Bo przyjmując pracę fizyczną wyszedł tem samem ze sfery, w której się urodził i wychował, wyszedł niezależnie od poziomu posiadanej kultury umysłowej. Inaczej mówiąc — zdeklasował się. Z drugiej strony, nie każdy *pracownik umysłowy* formalnie odpowiadający pod względem rodzaju wykonywanej pracy kryteriom, ustalonym przez rozp. Prez. R. P. o ubezpieczeniu pracowników umysłowych — jest w praktyce inteligentem w sensie poziomu kulturalnego.

Trzecie kryterium — to urodzenie. Ktoś, kto je posiada, może być zupełnym matołkiem, może skończyć nie sześć klas tylko trzy, może nie być pracownikiem w ogóle ani umysłowym ani fizycznym, a jednak — jeżeli ma odpowiednią ogładę towarzyską i stosunki nigdy nikt nie zakwestionuje jego przynależności od warstwy inteligenckiej. Oczywiście w tego rodzaju okolicznościach nie bez poważnego znaczenia jest strona materialna. Poziom dobrobytu, pozwalając jednostkom nieinteligentnym na utrzymanie się w warstwie inteligenckiej, w której się urodziły, odgrywa też dużą rolę w procesie przechodzenia z niższych do wyższych sfer ludzi prostych, którzy dorabiając się na własnych warsztatach pracy, czy to będą placówki rzemieślnicze, czy handlowe, czy drobno przemysłowe — uzyskują środki na wykształcenie dzieci już na poziomie kultury, który odpowiada poziomowi przeciętnego inteligenta. Dobrobyt daje aspiracje wychowania dzieci tak, żeby w przyszłości zajęły wyższe stanowiska społeczne. Aspiracje nie zawsze odpowiadają zdolnościom i inteligencji tych dzieci.

Przejście tą drogą z warstwy drobno-mieszczańskiej do sfer inteligencji nie zawsze jest kwestią jednego pokolenia. Wchodzą tu bowiem w grę nie tylko pieniądze, nie tylko zdobyty dzięki ich posiadaniu cenzus wykształcenia ale również i tradycja, która dziś jeszcze dość silnie wpływa na kierunek linii demarkacyjnej, odgraniczającej warstwę inteligencji od innych warstw społecznych. Jeżeli linia ta nie pokrywa się z linią podziału na ludzi kulturalnych i niekulturalnych, na ludzi inteligentnych i nieinteligentnych, należy to właśnie przypisać tradycji, która tak doniosłą odegrała rolę w procesie formowania się w przeszłości warstwy, dziś zwanej inteligencją. Stwierdzenie tego faktu nie uchybia w niczem ani uznaniu zasług tej warstwy dla narodu i państwa polskiego, ani dodatniej ocenie roli tradycji, która ogólnie biorąc jest niewątpliwie bardzo ważnym czynnikiem pielęgnowania i rozwoju kultury ducha i umysłu, przekazywanej i pogłębianej z pokolenia na pokolenie. Tradycja ta jednak jest elementem dodatnim i twórczym wtedy, gdy konserwując zdobycze przeszłości wzbogaca niemi teraźniejszość. Natomiast jest szkodliwa wtedy, gdy zatrzymuje postęp społeczny i kulturalny, stając na jego drodze jak zapora, którą łamać trzeba na to, żeby nie tamowała naturalnego prądu życia, żeby nie kierowała tego prądu w niewłaściwe łożysko.

Tradycja szlachecko - ziemiańska, która decydująco przyczyniła się do uformowania naszej obecnej warstwy inteligenckiej oprócz wielu wartości twórczych przyniosła nam też i obciążenia. Wprowadziła bowiem do stosunków, panujących w warstwie inteligencji szereg przesądów, szkodliwych z punktu widzenia twórczej roli jaką warstwa ta ma do odegrania w życiu państwowym.

Truizmem jest stwierdzanie niedorozwoju prywatnej inicjatywy i przedsiębiorczości gospodarczej w naszym społeczeństwie. Trzeba sobie jednak uprzytomnić, że te same przesądy społeczne, które kiedyś zahamowały w Polsce rozwój naszego przemysłu handlu i rzemiosł — zostały przeszczepione przez tradycję do psychiki naszej obecnej warstwy inteligencji, i że te właśnie przesądy w wielu wypadkach wytyczają sztywną granicę między inteligencją a nieinteligencją. Dlatego sztywną, że utrudnia przechodzenie z jednej warstwy do drugiej w obu kierunkach. Utrudnia zdolnym jednostkom z ludu przejście do warstwy inteligencji i naodwrót utrudnia ludziom z tych warstw pracę na szczeblach hierarchii społecznej uznanych jako niższe, a przez to uniemożliwia podciąganie na wyższy stopień kultury warstw drobnomieszczańskich, które pozostają odcięte od warstwy inteligencji i nie podlegają jej wpływowi kulturalnemu. Snobizm towarzyski, wskazując, jakże często na gruncie starych pojęć, na to „co wypada, a co nie wypada" człowiekowi „inteligentnemu", konserwuje bowiem w opinii społecznej pogardliwy stosunek do pracy fizycznej. I dzięki temu, wszystkie zawody w jakimkolwiek stopniu z tą pracą spokrewnione — uważane są za nieodpowiednie dla ludzi ze sfer inteligenckich, którzy bojąc się zdeklasowania towarzyskiego — unikają takich zawodów. Mniej zdolne dziecko rodziców inteligentnych, coûte que coûte kształcone będzie i przepychane z klasy do klasy w gimnazjum, bo „coby świat powiedział", gdyby nie dostało ono matury. Nie wypada przecież, żeby było inaczej. Więc, dzięki korepetycjom, protekcji i litości profesorów po „dokładnej" nauce po dwa lata w każdej klasie — cel tych wysiłków wielkim kosztem zostaje osiągnięty. I stąd iluż ludzi, których ambicje tą drogą zostały rozbudzone i rozwinięte w skali nieproporcjonalnej do uzdolnienia — przeżywa potem przez całe życie tragedię rozczarowania, tragedię niemożności zaspokojenia nadmiernych aspiracyj, zrealizowania związanych z niemi planów i projektów.

Dążenie do odbycia wyższych studiów objawia nie tylko młodzież prawdziwie zdolna, która ma szanse zarówno skończenia tych studiów, jak i wykorzystania ich w karierze zawodowej. Dążenie to ogarnia również liczne rzesze młodzieży mniej zdolnej, dla której istnieje małe prawdopodobieństwo uzyskania dyplomu, a potem — zwycięstwa w konkurencyjnej walce o byt w pracy zawodowej, zwycięstwa możliwego na ogół biorąc tylko dla zdolniejszych.

Porównanie liczby nowoprzyjętych studentów z liczbą osób, kończących co roku wyższe studia, wykazuje, że ilość uzyskiwanych dyplomów niższych i wyższych stopni waha się z grubsza biorąc corocznie w granicach 5½ — 6½ tys., podczas gdy liczba nowoprzyjętych wynosi corocznie 13 — 14½ tys. osób; znaczna większość zatem odpada w czasie studiów. Jednostki prawdziwie zdolne trudności materialne z jakiemi boryka się polska młodzież akademicka — przeważnie umieją przełamywać. Nie to zatem jest przyczyną dużej ilości niekończących studentów, lecz raczej błędny wybór zawodu i niewystarczające zdolności.

Błędem byłoby twierdzić, że każdy, kto po maturze nie zostanie przyjęty na wyższą uczelnię, lub też po rozpoczęciu studiów przerwie naukę, nie wytrzymując wymagań, stawianych na uczelni — automatycznie wykoleja się życiowo. Niewątpliwie tak nie jest. I bez wyższych studiów można się wybić, jest to kwestia szczęścia. Ale śmiało można ryzykować twierdzenie, że *większość* tych niewykwalifikowanych ludzi z ogólnym wykształceniem średnim, bez żadnej specjalizacji, bez fachu — to ludzie życiowo zwichnięci, przez *snobizm,* który pchał ich wyżej niżby na to zdolności pozwoliły i w rezultacie wepchnął w ślepą uliczkę, jeżeli już nie bezrobocia, to w każdym razie nędznej wegetacji. I w jednym i w drugim wypadku jednak rozdźwięk między rozbudzonemi aspiracjami, a smutną rzeczywistością bez przyszłości — stwarza typ społecznie niepożądany — obywatela zawiedzionego i niezadowolonego, a skutkiem tego negatywnie usposobionego do państwa.

Faktem jest, że wg Małego Rocznika Statystycznego, 1938, ilość bezrobotnych pracowników umysłowych (zarejestrowanych poszukujących pracy) — w końcu roku 1928 wynosiła 9,9 tys., a w końcu roku 1937 — 31,3 tys. Jeśli odrzucimy silne wahania koniunkturalne (znaczny wzrost kryzysowy w latach 1931—1936), to możemy, przyjąć, że w ciągu tych 9 lat, co roku przybywa nam średnio 2,38 tys. bezrobotnych pracowników umysłowych. Zjawisko to w warunkach polskich, w warunkach dużego zapotrzebowania na pracowników umysłowych, *para-*

doksalne — możemy przypisać przede wszystkim właśnie temu stałemu dopływowi elementów wykolejonych, niewykwalifikowanych: ludzi z maturą ogólnokształcącą i jednym przesłuchanym rokiem wyższej uczelni.

Zjawisko to jest bolesne i z innej strony. Ta część młodzieży, posiadająca matury bez wyższych studiów, która otrzymuje pracę — dostaje się przeważnie do szeregów niższej biurokracji państwowej, samorządowej. Może teraz, wobec ograniczeń w przyjmowaniu nowych urzędników, zjawisko to występuje w słabszym stopniu, ale jeślibyśmy przeprowadzili badania nad wykształceniem ogółu zatrudnionych dziś urzędników państwowych (od stopnia IX w dół) i samorządowych, to przekonalibyśmy się, że gros tych ludzi rekrutuje się właśnie z nieukończonych studentów.

A sądzić należy, że materiał pracowniczy złożony z tego typu ludzi, którzy nie posiadają fachu, a przez to i możności awansu, którzy nie mają szans zaspokojenia swych ambicji, ludzi rozgoryczonych i niezadowolonych z losu, ludzi niechętnie usposobionych do powierzonej im pracy — taki materiał nie może być zapisany na korzyść naszej biurokracji.

Faktu, że wśród niższych kategorii urzędników państwowych i samorządowych poważny procent przypada na wykolejeńców, posiadających wykształcenie za duże w stosunku do zajmowanego stanowiska, a za małe na to, żeby sobie byt poprawić i zaspokoić ambicje, nie można bagatelizować. Zwłaszcza wtedy, gdy się krytykuje stosunek biurokracji do społeczeństwa, gdy się narzeka na urzędników, szczególnie niższych, t. j. tych, którzy mają bezpośredni kontakt z klientelą. Bo w wielu bardzo wypadkach przyczynę czy to niedbalstwa, czy niegrzeczności urzędnika stanowi właśnie to, że jest on człowiekiem wykolejonym.

Reforma szkolnictwa, przeprowadzona w kierunku rozbudowy kształcenia zawodowego, które już na stopniu gimnazjalnym i licealnym dać dziś może fach i kwalifikacje, nie pozostanie z pewnością bez wpływu na zmniejszenie ilości wykolejeńców z maturą lecz bez specjalności. Nie będzie ona jednak miała wpływu *decydującego* na to zjawisko, jeśli nie wykorzenimy przez usilną i szeroką propagandę — szkodliwego *snobizmu*, tkwiącego w inteligencji polskiej, która musi zrozumieć, że *bez względu na pochodzenie i środowisko*, do wyższych uczelni kierować należy tylko młodzież naprawdę zdolną, posiadającą szanse ukończenia studiów; tę kategorię młodzieży należy też otoczyć jaknajwiększą opieką społeczeństwa, tak, by ani jeden prawdziwie zdolny człowiek nie zmarnował się, nie został pozbawiony możności ukończenia wyższych studiów, celem pełnego wykorzystania jego zdolności przez państwo.

Ale z drugiej strony, wymagania i selekcję w szkołach średnich i wyższych należy zaostrzyć, tak, by niezdolny, choćby najbogatszy, i najlepiej urodzony — nie zabierał miejsca w wyższej uczelni, której i tak nie skończy — jednostkom wartościowym intelektualnie i społecznie.

Chociaż problem bezrobocia inteligencji jest już bardzo oklepany, to od tej strony warto by jeszcze na niego zwrócić większą uwagę.

Andrzej Jeziorański.

NOTATKI

UBODZY KREWNI

Wielkie obiekty inwestycyjne — port, zapora wodna, fabryka, drapacz nieba, autostrada, kanał — przemawiają zarówno do wyobraźni ludzkiej, jak do ludzkiego poczucia własnego interesu. Łatwo ulega się złudzeniu optycznemu, że jeden wielki drapacz nieba to więcej, niż wiele małych domków, że rzesze bezrobotnych zatrudnionych przy sypaniu wałów są liczniejsze od rzesz tychże bezrobotnych, których po jednym, po dwóch, po pięciu wchłonęły rzemieślnicze i fabryczne zakłady „zatrudniające mniej niż 20 robotników". Przedsiębiorcę kapitalistycznego musi więcej interesować wielki obiekt, zapewniający odrazu pokaźną skalę obrotów, jeśli się uda uzyskać daną dostawę, niż liczny nawet zespół drobnych inwestycyj, przy których zdobywanie zamówień ciągnie się w nieskończoność. Dla technika zawsze będzie więcej interesującym zagadnieniem most niż mostek, dom niż domek, fabryka niż fabryczka.

Charakterystyczny dla XX wieku kult kolosów oraz gra interesów faworyzują wielkie obiekty inwestycyjne, usuwają w cień obiekty drobne i najdrobniejsze.

Nie mam żadnego materiału statystycznego, który pozwoliłby mi udowodnić twierdzenie, że suma dochodu, inwestowanego w drobnych obiektach przerasta nakłady, czynione w obiektach wielkich. Wydaje się to prawdopodobne na tle naszej struktury produkcyjnej. Być może, że tak nie jest, zważywszy, że uzbrojenie techniczne na jednego zatrudnionego robotnika jest znacznie wyższe w zakładach dużych niż w małych i średnich. Koniec końców jest to jednak obojętne, od tego obliczenia zależy bowiem tylko jedno: czy marnotrawstwo, będące skutkiem lekceważenia sprawy inwestycyj drobnych, obejmuje zakres większy, czy mniejszy. W każdym zaś razie pewne, że zakres ten jest bardzo duży.

Corocznie powstają tysiące nowych chałup chłopskich. Corocznie buduje się tysiące nowych izb mieszkalnych w małomiasteczkowych parterowych, maximum jednopiętrowych budynkach. W pierwszej kategorii wszystkie, w drugiej większość budynków wznoszone są przez domorosłych majstrów, a nieraz poprostu przez samych „inwestorów". Pierwsza szkoła ciesielska w Polsce powstała, lub powstaje dopiero w roku bieżącym. Wydziały architektury natomiast w najlepszym razie wyprodukowały kilku architektów, którzy zainteresowali się problemem drobnego budownictwa. A problem jest olbrzymi i nierozwiązalny siłami samych zainteresowanych. Zjawiły się nowe materiały budowlane. Jaką mogą rolę odegrać w budownictwie drobnym? Wystarczy pojechać na tereny podgórskie, żeby stwierdzić, że tradycyjny typ gontem krytego domku o małych oknach nie wystarcza nowym potrzebom i nie odpowiada dzisiejszym warunkom gospodarczym. Oczywiście wieś sama kiedyś dojdzie do stworzenia sobie szczęśliwego typu nowego domu. Będzie to trwało 20—30 lat. Okres ten możnaby kolosalnie przyśpieszyć, gdyby zainteresowanie drobnemi inwestycjami wiejskiemi wyszło poza fazę przepisów budowlanych i nakazów malowania płotów, poza fazę dorywczych wydawnictw, poza fazę odcinkowych prac. Przykładowo, dla zorientowania czytelnika co do istniejącego stanu rzeczy wspomnę, że do tej pory nie został właściwie stworzony praktyczny, potrzebom wsi odpowiadający typ pieca, nowoczesnego, nadającego się do opalania węglem.

Budownictwo mieszkaniowe i fabryczne poczyniło olbrzymie kroki naprzód w dziedzinie żelazobetonu, nauczyliśmy się robić solidne drogi o trwałej nawierzchni. Jeśli jednak chodzi o materiały budowlane te, które znajdują zastosowanie w inwestycjach drobnych, a więc cegłę i drzewo, sytuacja uległa pogorszeniu. Im lepiej organizujemy nasz eksport drzewny, tem gorszy materiał zostaje dla rynku wewnętrznego. A cegła? Przypuśćmy, że związek techników przesadza, twierdząc, że 90% cegły, znajdującej się na rynku nie odpowiada elementarnym warunkom technicznym. Jeśli to nawet tylko 30%, to te 30% trafia nie gdzieindziej, jak do budownictwa drobnego.

Inwestycje drobne powinny znaleść pomoc nie tylko finansową, lecz i techniczną. Stworzenie odpowiednich szkół, instytutów technicznych, wzorców, wydawnictw, obsługujących potrzeby ubogich krewnych fabryk i drapaczy nieba, jest napewno jedną z najbardziej rentownych inwestycyj intelektualnych.

c. b.

PUC

Tytuł powyższy nie bardzo nadaje się do pisma gospodarczego, lecz cóż, gdy najlepiej oddaje ustosunkowanie się „prywatnej inicjatywy" do pewnych zagadnień państwowych. O kotonizacji w Polsce mówi się od wielu lat. Wojsko chciałoby mieć w kotoninie i w innych surowcach bazę surowcową na wypadek wojny. Rolnictwo widzi w rozwoju produkcji i zużycia krajowych surowców poprawę opłacalności warsztatów rolnych. Wszyscy myślący ketegoriami objektywnemi widzą wiele innych stron zagadnienia forsowania produkcji i użycia krajowych surowców. Nie będziemy ich na tym miejscu powtarzali. Przemysł zaś z małymi wyjątkami — chciałby widzieć w kotonizacji nigdy nie kończące się studia i próby laboratoryjne. Tak samo było w 1930, tak samo w 1932, 1934, 1936 i 1938 roku, pomimo to, iż studia i doświadczenia trwały już od wielu lat i doprowadziły do wniosku, iż omawiany problem jest pod względem technicznym rozwiązany. Jak tylko ze strony czynników rządowych pada bardziej kategoryczne żądanie istotnego przystąpienia do kotonizacji, przemysł natychmiast zabiera się do... permanentnych studiów. Na przestrzeni ostatnich dwu lat powołano do życia w Łodzi parę komisyj kotonizacyjnych, aby ich autorytetem poprzeć... *a priori negatywne stanowisko* przemysłu wobec krajowego surowca i w rezultacie odroczyć sprawę na czas ponow-

nych badań. Gdy już ten chwyt spowszedniał, zaplantowano trochę konopi południowych i namawia się aby zaczekać na wyniki ich kotonizacji. Od chwili zajęcia się tą sprawą do chwili otrzymania włókna upłynie blisko roczek. Po czym okaże się to, co od dawna stwierdzono we Włoszech, że włoskie konopie nadają się do kotonizacji (— bo ich w Polsce brak), a polski len, którego mamy w nadmiarze znów pozostanie „surowcem nie nadającym się do kotonizacji". Ostatnio zaś wobec wprowadzenia przymusu stosowania kotoniny zakłada się fabrykę a właściwie fabryczkę kotoniny, przy czem wśród udziałowców figurują m. in. najwięksi oponenci w stosunku do akcji kotonizacyjnej. Sądząc z dotychczasowych informacyj fabryka będzie mniejsza od zakładu kotonizacyjnego jednego z najpoważniejszych kotonizatorów, traktujących rzecz serio i nie ograniczających się do *prób* z południowymi konopiami. Tymczasem i huczek jest koło tego i trochę czasu minie. Najprzykrzejsze jednak w tej historii jest, że niektóre poważne organy umieszczają inspirowane artykuły, w których dyskredytuje się dotychczasowe nieliczne, ale istotne poczynania kilku przemysłowców. Produkowana przez nich kotonina ma być zła. Istotnie ona jest zła, ale jest zła dlatego, że jest dobra i nadaje się do użycia.

Kupcy, którzy obniżyli ceny wyrobów włókienniczych dostali srebrne krzyże zasługi. Nieliczni przemysłowcy, którzy naprawdę produkują kotoninę, powinni dostać złote krzyże. Skoro zaś zmierzamy do równowagi i sprawiedliwości, panowie sabotujący kotoninę powinni otrzymać również nagrodę w myśl zasady „każdemu wedle jego zasług".

s. a.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.